

W swoich ścianach przejrzystych

26 października 2014

Akcja „Życia na podsłuchu” („Das Leben der Anderen”) w reż. Floriana Henckel von Donnersmarcka rozgrywa się w NRD w latach 80. XX wieku. W jednej z początkowych scen filmu widzimy grupę wysiadających z furgonetki – umiejętnie wtapiających się w tło – ponurych mężczyzn w buroszarych okryciach wierzchnich. Jeden niesie ciężką walizę, drugi drabinę, kolejny sprawdza natomiast, czy ich poczynania nie śledzą nieodpowiednie oczy. Jeszcze tylko kilkadziesiąt szybkich kroków przez chodnik i klatkę schodową, dzielących ulicę od mieszkania głównych bohaterów – potem wytrych i można rozpocząć dwudziestominutowe montowanie sprzętu do podsłuchu. Smutni panowie nie są wprawdzie niewidzialni, ale wścibska sąsiadka dowie się od razu, jakie będą konsekwencje jej zbyt długiego języka. Trochę kija, trochę marchewki: pod koniec wizyty w kamienicy, równie ponurej co tajemniczy agenci, oficer HGW XX/7 poleci podwładnym przysłać kobiecie prezent w ramach podziękowania za „współpracę”. Będzie milczała.

Kable, pluskwy, fizyczny sprzęt, który waży i który trzeba skądś przytransportować i gdzieś umieścić, jako podstawa metod inwigilacyjnych współcześnie stracił na wartości. Dziś z chciwymi wiedzy spojrzeniami spotkać można się m.in. podczas korzystania z Internetu. Greg, Maya i Laurie, bohaterowie krótkiej fabuły Cory’ego Doctorowa pt. Wygooglany (Scroogled) z 2007 r., żyją w takiej wersji Stanów Zjednoczonych, w której władza de facto należy do firmy Google. „Moi rodzice opuścili NRD w 1965 roku. Opowiadali mi o Stasi. Tajnej policji zbierającej wszystkie informacje do twojej teczki – kiedy powiesz niepatriotyczny dowcip albo coś takiego. Czy tego chcieli, czy nie, Google stworzyło to samo” – porównuje dwa światy córka niemieckich imigrantów, Laurie. W Wygooglanym politycy ściśle współpracują z korporacją i korzystają z

najnowszych technologii również po to, by skompromitować konkurencję. Każda osoba, której sieciowa historia jakkolwiek odbiega od normy, traci prawo do prywatności i może być sprawdzana bez ograniczeń: a „jeśli zaczęli cię googlować, to na pewno coś znajdą”. Konstytucyjne prawa jednostki przestają mieć rację bytu. Jak i po co domagać się kontaktu z prawnikiem, gdy w środku nocy przychodzą nie policjanci, a... konsultanci prywatnej firmy?

Doctorow nie bez przyczyny wziął na warsztat właśnie Google – działania korporacji związane z przestrzeganiem prawa do prywatności użytkowników i użytkowników od lat budzą emocje. Internetowy gigant przedstawiony w opowiadaniu kanadyjskiego pisarza, dziennikarza i aktywisty to instytucja totalna: wszechpotężna, wszechmocna i wszechwiedząca. Monitoring wizyjny łączy się ze skrzynką pocztową, a zadania, z którymi przestało radzić sobie państwo, przejęła firma. Kontrola lotniskowa „powered by Google” ma wgląd do informacji na temat czasu spędzanego przez internautę bądź internautkę w sieci, częstotliwości korzystania z poczty elektronicznej oraz do treści profilowanych reklam wyświetlanych konkretnemu użytkownikowi czy użytkownikowi – czyli pośrednio do tematyki zapytań wklikiwanych w wyszukiwarke – a także do komunikatów zamieszczanych sieci. Tyle urząd lotniskowy, sama firma ma już dostęp do kompletu danych. Pracownicy przedstawionej w opowiadaniu wersji Google’a czytają e-maile prominentnych polityków, a czasem – ze względów emocjonalnych bądź dla korzyści – zmieniają cudze sieciowe historie przy pomocy programu Googlecleaner. Bunt jednostki przestaje być możliwy. Greg po krótkiej przerwie w pracy zostaje ponownie zwerbowany. Szybko dowiaduje się, że jego koleżanka Maya, która próbowała zerwać z firmą („ona nie rozumie naszych celów i chyba się nieco zagubiła” – usłyszy od szefów), popełniła samobójstwo. Daleko, w Gwatemali.

Cory Doctorow w swojej twórczości beletrystycznej odwołuje się niejednokrotnie do tak zwanej wojny z terroryzmem, którą po

atakach z 2001 roku Stany Zjednoczone oraz państwa europejskie usprawiedliwiały coraz większą ingerencję w prywatność przeciętnych obywateli i obywateli. Kreowane przez niego światy to niezbyt odległa przyszłość, w której pewne elementy teraźniejszości stają się wyolbrzymione i spotworniałe. Problem „bezpieczeństwa” jako argumentu usprawiedliwiającego każdą ingerencję władzy – często nieudolnej – w życie jednostki zostaje zaakcentowany w nawiązującej luźno do Roku 1984 powieści „Mały brat” („The Little Brother”) z 2008 r. oraz jej kontynuacji, „Homeland”. Marcus, nastolatek biegły posługujący się narzędziami umożliwiającymi zachowanie prywatności w Internecie, oraz grupa jego przyjaciół mają pecha znaleźć się w złym miejscu i czasie – w związku z czym padają na nich podejrzenia o współorganizowanie zamachu terrorystycznego. Zostają zatrzymani i więzieni przez funkcjonariuszy Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. A to dopiero początek wielu „probezpieczeństwowych” represji.

Główny bohater – początkowo posługujący się pseudonimem wln5t0n, później znany jako M1k3y – staje się nieformalnym przywódcą buntu nastolatków, komunikujących się poprzez sieć. Na rzeczywistość Marcusa i jego rówieśników składają się wszechobecne kamery (w tym umieszczone w szkole urządzenia do badania sposobu chodzenia młodzieży, wszczynające alarm, gdy dany uczeń bądź uczennica wykracza poza wyznaczony teren), analizowanie trasy przemieszczania się po mieście poprzez karty do metra, ograniczanie płatności gotówką czy detektory Wi-Fi. Marcus komunikuje się z przyjaciółmi w sieci o nazwie Xnet przy użyciu oprogramowania ParanoidLinux, a w pewnym momencie wraz z przyjaciółmi decyduje się na szyfrowanie poczty elektronicznej. Nie każdy ze środowiska Marcusa jest jednak gotów na sprzeciw wobec oplatającej wszystkich siatki kontroli. Ojciec chłopca popiera represje, którym zostają poddani obywatele. „Nie czas zgrywać prawnika i mówić o karcie praw. Nadszedł czas, w którym wszyscy musimy się trochę poświęcić, żeby miasto mogło być nadal bezpieczne” – mówi w pewnym momencie mężczyzna, w pełni przekonany do zasadności

argumentów władzy, posługując się bezrefleksyjnie zasłyszana w mediach retoryką.

Brak prywatności oraz poufności komunikacji w sieci można przedstawić także w konwencji nieco lżejszej, co przecież nie znaczy, że mniej serio. W świecie, gdzie reklamy podążają za człowiekiem wzdłuż budynku, a obowiązkowym akcesorium na branżowej imprezie jest nie tylko kolorowy kostium i wytapirowane włosy, ale też nieodłączne smartfony, tablety i słuchawki, żyje zamknięty w sobie ekscentryczny Qohen Lethie, pracownik korporacji. Kiedy wreszcie bohater „Teorii wszystkiego” („The Zero Theorem”) Terry’ego Gillliama doprosi się u szefostwa możliwości zdalnej pracy (przy udziale w projekcie „bardzo top secret”), w jego zaadaptowanym na mieszkanie starym kościele pojawią się technicy – by „zmienić zamki, ustawić standardy bezpieczeństwa dla pracy w domu”, jak poinformuje mężczyznę bezpośredni przełożony. W ramach wspomnianych standardów mieści się opłeczenie wnętrza budynku siecią mikrokamer, ale tego kierownik już Qohenowi nie powie. Gdy nastoletni syn szefa stwierdzi bez ogródek, że skopiował zapisy konsultacji mężczyzny z wirtualną psychoterapeutką, zdumiony introwertyk wykrzyknie „to przecież prywatne” – w odpowiedzi usłyszy tylko prychnięcie. Swoją drogą, nastolatкови przeszkadza w pracy spojrzenie stojącego tuż obok Qohena; obecność kamery za plecami – nowego kapitelu potężnego krucyfiks stojącego za niegdysiejszym ołtarzem – nie robi jednak na nim żadnego wrażenia.

Maya, Marcus, Qohen – mimo wszechobecnych ograniczeń – wciąż czują potrzebę zachowania choć minimum wolności. Obok nich pojawia się jednak rzesza osób, którym zgoda na wykrawanie fragmentów prywatności przychodzi bez trudu: ze strachu, z wiary w zasadność określonych rozwiązań, a nawet z przyzwyczajenia. W 1920–1921 r. w Rosji Eugeniusz Zamiatin napisał powieść o ludziach, którzy nie mają prywatności. „Na co dzień w swoich ścianach przejrzystych, jakby wysnutych z połyskliwego powietrza, żyjemy wiecznie na widoku, zawsze

skapani w świetle. Nie mamy przed sobą nic do ukrycia” – mówi D-503, bohater My, wspomnianej antyutopii. Ludzie-numery Zamiatina stanowią świetną ilustrację stanu, do którego nieświadomie dążymy, przyzwalając na coraz większą kontrolę. Są zadowoleni i nie skarżą się, bowiem nie mają już takiej sfery życia, która należałaby wyłącznie do nich i którą pragnęliby zamknąć przed cudzym wzrokiem.

Autorka: Urszula Dobrzańska

Źródło: [Fundacja Panoptikon](#)